

I Kor. 1, 10-17

Warszawa 1.02.2016

Jezus jako świadek jedności chrześcijan – od początku swego istnienia kościół powoływał się na Jezusa, jako na tego, który spaja, łączy, pojednuje wszystkich ze wszystkimi. Przecież w pierwszym kościele panowała ta spajająca miłość Chrystusa, do której mamy zawsze wracać. Tak więc, gdy dzieje się źle w kościele to miłość Jezusa jest jedynym remedium, czego obrazem doskonałym jest młody Kościół jerozolimski.

Myślę jednak, że tak idealnie w pierwszym Kościele nie było. Bylibyśmy zaskoczeni, gdybyśmy nagle znaleźli się pośród ich zgromadzenia wraz z pytaniem, co takiego czynili, że działy się wśród nich rzeczy, o których możemy czasami tylko pomarzyć – przede wszystkim duchowe przebudzenie.

Cóż, śpiewano wtedy okropnie. Nie istniała jeszcze muzyka kościelna jako gatunek muzyczny – śpiewano więc kilka tekstów biblijnych na popularne melodie ludowe. Była to taka ówczesna muzyka pop z pobożnym tekstem. To tak, jakbyśmy chcieli przeredagować teksty największych hitów muzyki pop. Kto zaś przywykł do klasyki 18 wieku, nie wytrzymałby długo w czasie nabożeństwa.

W czasie zgromadzenia panował ledwo utrzymywany porządek, nam przypominający chaos – nieustanne improwizacje ponieważ nie powstały jeszcze formy liturgiczne. Ktoś przychodził, inny wychodził, niewolnicy chyłkiem wymykali się do pracy, dzieci płakały i wołały jeść, ktoś modlił się językami a inni go uciszali. Niektórzy przychodzili na zgromadzenia jedynie z powodu wspólnego posiłku i nie podobało im się, że przy Wieczerzy Pańskiej spadała ilość dań. I nabożeństwa trwały długo.. uważamy, że nabożeństwo godzinne jest wystarczające, wierzcie mi, wtedy trwały one cały dzień...

Kaznodzieje używali prostego języka. Zaczynali zdanie i pod koniec nie wiedzieli co było jego początkiem. Powtarzali się, mówili z Ducha, nie posiadali teologicznego wykształcenia, bo jakąż teologia wtedy panowała?

Nie posiadano nawet Biblii, bo ta jeszcze nie była spisana – czytano kilka listów apostołów i parę zbiorów Jezusowych nauczań. Nikt więc nie mógł w domu w spokoju przeczytać tekstu biblijnego będącego podstawą kazania, bacząc, czy kaznodzieja wyklada Pismo uczciwie – Pisma wtedy nie mieli. A całe księgi były niezmiernie drogie.

Kobiety traktowano wtedy krótko. Musiały milczeć. Na głowach wiązały zawoje. Nie było mowy o żadnej emancypacji, o kobietach czytających w czasie nabożeństw, recytujących

modlitwy. Wciąż twardo im przypominano, że to Ewa pierwsza uległa pokusie węża i powinny odbijać blask Chrystusowy, który oczywiście przekazuje im małżonek. Nikomu się nawet nie śniło o ordynacji kobiet.

Ich nauka w wielu miejscach zaskoczyłaby nas i wydałaby się co najmniej dziwna, jeśli nie niezgodna z naszą – chrzcili również martwych, wierzyli, że samowolnie wydawane dźwięki są mową anielską, mieli bardzo wysokie o sobie mniemanie a czasami wydawało im się, że Królestwo Boże już nastąpiło, tak więc oni są górą, stąd wszystko im wolno!

Przestrzeń i warunki liturgiczne również były pod psem. Żadnych symboli, obrazów, ozdób. Żadnej uczty dla oczu. Nie znali liturgicznych barw, o sutannach czy togach, stułach czy albach nawet nie myśleli. Nie posiadali witraży, dzwonnicy, zakrystii. Cieszyli się, gdy współwierzący zaproponowali im na nabożeństwo własne domy. Siedzieli na ziemi, na parapetach okiennych, gdy kazanie się przeciągnęło, to i spadało się z nich...

Mimo to, zgromadzenia w czasach pierwszego Kościoła miały w sobie coś wstrząsającego, radosnego, zapierającego dech w piersiach. Był to entuzjazm, serdeczność i miłość. Ten duch był zaraźliwy. Dlatego chwalili Boga, wspólnie schodzili się na spotkania, łamali chleb. Dlatego byli ofiarni i wszystko mieli wspólne. Ich znakiem rozpoznawczym była radość, również znakiem wewnętrznej przemiany. Tym magnesem ich łączącym była niewidzialna miłość. Solidarna, łącząca i budująca całkowicie nowe więzi i stosunki między jeszcze niedawno obcymi ludźmi.

Myślę o tym nie raz, zwłaszcza gdy spotykam się w różnych kościołach z wielobarwnością chrześcijaństwa. Przypomina mi się takie jedno spotkanie.

Kilkanaście lat temu zostałem zaproszony na uroczystość wprowadzenia nowego pastora zboru zielonoświątkowego w Czechach. Całkiem sporą salę wypełnił szczerze tłum ludzi. Wszystko było zorganizowane w sposób prosty, bez żadnego przepychu. Gdy usłyszałem jednak pieśń „O ujmij ruku moi“ (Za reke weź mnie Panie) z towarzyszeniem gitary basowej i perkusji to nie wiedziałem, gdzie podziąć wzrok.

Ogólnie śpiewano nieskomplikowany pop amerykańskiego typu. Dziwnie brzmiała kombinacja rejestrów elektrycznych organów z taktem um-ta-ta na perkusję. Nasi wielcy protestanci organisci obracaliby się w grobach a nasz Michał po prostu by wyszedł. Lecz pastor Petr wytłumaczył nam, że z powodu wielu nowych i młodych ludzi nie mogą śpiewać jak sprzed stu lat takich ponurych pieśni. Fakt, młodzieżowy zespół gospel nie zachowywał się zbyt

ekstrawagancko. A protestancki chorał „Tebe, Boze, chwalime“ (Boże wielki, pełnyś chwał) z pewnością bardziej pasuje do kościołów takich jak nasz, lecz czy bylibyśmy w stanie zaśpiewać go z takim zaangażowaniem i radością? Przypominam sobie rozmowy z osobami stosunkowo nowymi w naszej parafii – musiało upłynąć kilka lat by doceniły i w końcu pokochały te na początku ponure, obco brzmiące i zdyscyplinowane pieśni. Musze przyznać, że osoba będąca pierwszy raz w naszym kościele musi stawić czoło wyrafinowanemu i specyficznemu folklorowi naszego wyznania. Być może za kilka lat dojdzie do wniosku, że nasze pieśni są wartościowsze niż ten religijny pop – owszem, jeśli wytrzyma tych kilka lat. Wszyscy przybysze z zewnątrz zgodnie stwierdzają, że powaga naszych nabożeństw jest uderzająca. Ale też i odświeżająca i uspokajająca..

Zauważyłem, że kobiety tam były traktowane krótko. Występowały w podrzędnych, nierównych rolach. Nie było mowy o kobietach pastorach. Ich rolą było stać przy miejscach z kawą i herbata i ciastem, o stanięciu za Stołem Pańskim mogły tylko pomarzyć.

Kazanie nie było szczytem kaznodziejstwa. Czasami wydawało się, że myśl nie posiada sensu, nie jest wyrażona poprawnie gramatycznie, liczne powtórzenia, wtrącenia, urywane myśli. Teologicznie proste i nieskomplikowane. Lecz słuchacze dookoła mnie jakby tych niedostatków nie zauważali, przeciwnie, reagowali spontanicznie i półgłosem dopowiadali: „No, to teraz dobrze powiedziałeś! Naprawdę?! Jak na to wpadłeś?“ Wśród całego zgromadzenia można było wyczuć i zaobserwować ogromne zaangażowanie, podniecenie, żywą reakcję. Oczywiście, było to wyjątkowe nabożeństwo – zjechało się kilka zborów i mnóstwo gości. Przy takich okazjach i w naszym Kościele jest podobnie. Uczestnicy bardzo poważnie traktowali to nabożeństwo a zwłaszcza ich nowego kaznodzieję – zdecydowali się go przyjąć, wzięli więc odpowiedzialność na siebie za jego losy, mogli pozwolić sobie na niego zbierając dziesiątki ofiar i kolekt.

Był to trochę świat zamknięty, samowystarczalny, świat poza czasem i przestrzenią, poza ekumenią, wyjęty jakby spoza struktur miasta i społeczeństwa. Brakowało tam tej bojaźliwej i sumiennej dyplomacji naszych spotkań ogólnokościelnych – tego lęku, by nikogo z naszych gości ekumenicznych nie urazić przy wymienianiu ich obecności lub udzielaniu głosu...

Tak więc panowały entuzjazm, optymizm, uśmiech, dzieci i młodzież, dynamika, radość i żarty, ciepłe kolory, świąteczny ubiór, przytulność. Nie widziałem nikogo siedzącego w najdalszym kącie i mającego wszystko wszystkim za złe, nie usłyszałem słów krytyki pod adresem śmiejących się dzieci naruszających atmosferę skupienia wykładu akademickiego.

Do wielu rzeczy nie moglibyśmy się już przyzwyczać, przyjmąc za swoje. Pewne rzeczy byśmy zmienili, poprawili, udoskonalili. I tak się na przestrzeni wieków, dzięki Bogu, stało. Przecież jesteśmy daleko bardziej otwarci, posiadamy jasność w nauce naszego Kościoła, dogmatyce, wytworzyliśmy przepiękną kulturę na potrzeby naszej wiary i pod wpływem tej wiary – kościół, organy, sztuka i muzyka. Mamy Bibliotekę pełną dowodów naszej historyczności i wspaniałej długowieczności. Z pieczołowitością posługujemy się językiem mówionym i pisanym, usiłujemy jak najpoczeiwiej wyklądać Pismo w naszym życiu. Z szacunkiem odnosimy się do kobiet, naszych siostr w Panu.

Z drugiej zaś strony sprawy drugorzędne traktujemy jako podstawowe i priorytetowe - często zbyt mocno związani jesteśmy formą. Osoby z zewnątrz twierdzą, że jesteśmy zbyt skostniali, nieelastyczni i sztywni, niemisyjni, obawiamy się emocji, żądamy zachowania swego porządku. Czasami wydaje się, że zamieniliśmy wierność Jezusowej misji na walkę o zachowanie tej zakopanej grzywny. Przy jakichkolwiek oznakach zmian stają się z nas strażnicy tradycji ojców. Nasza deklarowana otwartość nie ma znaczenia praktycznego, ponieważ i tak nikt nowy często do nas nie przychodzi. A jeśli już przyjdzie, to musi włożyć na swe barki brzemia, których nie nakłada Jezus lecz człowiek. A nasze dobre stosunki z przedstawicielami innych wyznań i Kościołów czasami zamieniamy w serwilizm, w imię którego krzywdzimy swoich współwyznawców...

A przecież celem naszej nauki w Bożej szkole jest miłość wypływająca z czystego serca, z czystego sumienia i szczerzej wiary Jezusa Chrystusa. I gdybyśmy próbowali zmienić wiele z rzeczy zewnętrznych to jeśli nie posiadziemy tego źródła wewnętrznej radości nic nam to nie da. Bóg patrzy w nasze serca i dokładnie wie, czy Jego sprawy traktujemy z odpowiedzialnością czy z obojętnością. I pięćsetletnią pieśń można śpiewać z uczuciem i zaangażowaniem lub współczesny hit z obojętnością – odnowa Kościoła zaczyna się od odnowy wewnętrznej każdego chrześcijanina.

Wiem, że i w naszych Kościołach dzisiaj Jezus jest jednością a my wraz z nim jesteśmy świadkami tego. Wystarczy tylko się rozejrzeć dookoła.